

Zaniepokojonemu pełnomocnikowi Williama odpowiedziałem w ten sposób:

— Niech się pan uspokoi, kochany mecenasie... Nieporozumienie, jakie istniało między mną a pańskim klientem, już ustało!... Łucya Weill nie żyje... i niema już żadnych powodów, by William nie miał mnie przyjąć z wielką radością!

Oddanego zaś sobie sekretarza, Johna Fellowa, tak uspokajałem:

— Pozbądź się, mój przyjacielu, Johnie, swych nierozsądnych przeczuc!... Cel mojej podróży do Europy jest diametralnie przeciwny celowi, jaki sobie postawił mój nieszczęśliwy współnik, Joe Duncan... Niech Bóg ma w opiece jego duszę!... Zobaczysz mnie pan wkrótce i możliwym jest, że przyniosę panu jeszcze szczęście!... Dzięki swemu długiemu życiu, oddanemu pracy i swym wiadomościom stał się pan godnym prowadzenia zaufania papierowego... I w chwili, gdy wycofam się z interesów, panu tylko powierzę kierownictwo mego dzieła i dzieła Joego, pańskiego pierwszego i nieodżałowanego szefa!

John Fellow rumienił się z radości, jaką mu sprawiały me słowa, mecenas jednak Teck nie mógł rozchmuryć swego czoła!

Ani argumenty jednego, ani przeczcucia drugiego nie mogły mnie odwieść od wykonania mego postanowienia. ...Jakaś nerwowa gorączka nagliła mnie do zobaczenia Williama i do ustnego potwierdzenia mu lub depeszy z Montrealu! Pragnąłem przytem jak najprędzej ujrzeć i żonę Williama, mą ukochaną córkę, Ewelinę. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnego jasno określonego planu. Zachowanie się moje względem nich, zależeć będzie tylko od przyjęcia, jakie mi zgótuje William!... Może zmuszonym będę pozostać do końca tylko Jonatanem Brentano, kochankiem Nelly Burlington i wykazać mu jego błąd, że B. R. R. B. S. nie jest B. R. N. T. N. A może też okoliczności skłonią mnie do tego, iż uznam prawdziwe znaczenie jego równania algebraicznego i będę mu nawet winował jego przenikliwości! Może wreszcie zrzucę dla Eweliny swą maskę z twarzy i William pokocha swego teścia, rzeźbiarza Barrabasa! Stanie się jedno lub drugie, niezależnie jednak od moich chęci lub rachub!

Te trzy lata życia amerykańskiego uczyniły mnie zbyt praktycznym, bym miał się teraz bawić jakimś bezsensownymi przepowiedniami!

W jakiś czas potem wsiadłem na okręt jadący do Francji z tym jedynym zamiarem, by jako król papierowy odbyć podróż tylko dla przyjemności!... Okaże się jednak wkrótce, jak bardzo myliłem się nawet i w tym wypadku! Przez dziwny zbieg okoliczności okrętem tym był *La Touraine*, ten sam, na którym przyjechałem do Nowego Yorku w towarzystwie Joego Duncana, Łucyi Weill i syna swego, Polidora. Chciałem zajmować tę samą kajutę, co i poprzednio i udało mi się to bez żadnych trudności... Jak tylko okręt podniósł kotwicę, do głowy mej napłynęła cała fala wspomnień. Jawiły mi się, jakby przychodzące z morza widma przeszłości... Ujrzałem Łucję zamordowaną, jak sądziłem, przez Joego i zmartwychwstałą potem, by wywieść mnie z błędu! Ujrzałem Joego i usłyszałem jego donośny głos, który zdawał się głośnić szum fal morza... „I cóż, Jonatanie... nie podziwiasz zatoki Hudsonskiej! Nawet za dolara nie masz w sobie ciekawości... Usłyszałem także Polidora, jak zjawił się w nocy w mej kajucie i żądał: „Daj mi pięć luidorów“!

Z tych czworga dawnych pasażerów ja jeden tylko pozostałem przy życiu i jednakowym żalem wspominałem Joego, zamordowanego przez Polidora, Polidora zamordowanego przez sprawiedliwość ludzką i Łucję Weill, zabita przez swe własne namiętności.

Nie wyjechaliśmy jeszcze zupełnie z przystani, gdy podszedł ku mnie kapitał okrętu i trzymając z uszanowania czapkę w ręku, zapytał:

— Czy pan jest master Jonatan Brentano, sławny król papierowy?

— Tak, to ja.

— Zaszedł nieprzyjemny wypadek... Prawa są stanowcze... Nie wolno mi przerywać jazdy, by umożliwić panu powrót!... Nie ujechaliśmy jeszcze dwóch mil, gdy z brzegu wysłano depeszę do pana gołębiem pocztowym!

Kapitan podał mi przytem pasek papieru, na którym przeczytałem te słowa:

„Wracać do portu. Depesza z Francji. Teck“.

— Co się należy za naruszenie regulaminu? — zapytałem.

Kapitan wydał się obrażonym i odparł uroczyscie:

— Mam zaszczyt powtórzyć panu, że prawa są stanowcze i wyraźne...

I przy słowach tych obrócił się ku mnie pomocnik tego kapitana, wypchanego regulaminem i nie mającego w sobie nic amerykańskiego i wręczył mi nowy pasek papieru, na którym wypisane było:



Podniosłem się bezwiednie ze swego fotelu...

Kablogram z Paryża był taki: „William...a..... Podpisane: Marcadian“.

John Fellow.

— Przepraszam — rzekłem do oficera — co to znaczy?

Oficer nachylił się nad skrawkiem papieru, który nam przyniósł nowy gołąb pocztowy i odrzekł wymijająco:

— Bardzo przykre, ale aparat nie odbił tego słowa! Człowiek nie jest doskonały, tembardziej maszyna...

Teraz ja się odwróciłem plecami do oficera, zirytował mnie bowiem brak tego słowa, wskutek czego cała depesza pozbawiona była znaczenia.

Cały pierwszy dzień podróży zajęty byłem tym skrawkiem papieru, który mi przysłał mój sekretarz, John Fellow... Była to jednak zagadka niemożliwa do odcyfrowania... W tem uciętem słowie, którego na żaden sposób nie mogłem się domyśleć, była jednak tylko samogłoska „a“ i nic!... „William...a...“ Co więc więc William?... Była to zapewne odpowiedź na mą depeszę z Montrealu, zwiastującą mu śmierć Łucyi Weill!... Co do tego nie miałem żadnej wątpliwości! Lecz dlaczego użył on po-

średnictwa Marcadiana, by mi odpowiedzieć: „William...a...“ Co William?

Lakoniczność tej odpowiedzi zaintrygowała mnie i tem więcej zaostrzała ciekawość. „William...a...“ Cóż mogło być z tym Williamem? I pozostawałem z oczami jak zahipnotyzowanym przez tę samogłoskę, jedyną literę, jaką źle funkcjonujący aparat odbił dla mnie z całego tajemniczego słowa! Umysł mój kręcił się dokoła tej litery jakby w jakim zaczarowanym kole bez wyjścia... Układałem najrozmaitsze słowa, pozbawione wszelkiego zastosowania tutaj, które też nie mogły zadowolić ani wyobraźni... mimo to traciłem czas nad wynajdywaniem coraz to nowych...

Nagle jawiło mi się w myśli jedno, od którego zdradzałem cały!... Depesza stała się dla mnie teraz zupełnie jasną i czytałem tę straszną wieść:

„William umarł!...“

Depesza ta nie mogła mieć innego znaczenia tylko to jedno, nie mogła nic innego zawierać!... Dowodził tego podpis Marcadiana i lakoniczność zredagowania tej wiadomości: „William umarł!...“

Telegraf dzięki swej niedoskonałości złagodził to, co depesza mego szwagra miała w sobie brutalnego i złowieszczonego! Schowałem ten pasek papieru do kieszeni i wyszedłem na pokład, by zaczerpnąć powietrza, którego zaczynało mi brakować w kajucie... I znowu mogę wydać się najgorszym z ludzi, lecz i tym razem jeszcze przyznam się do ulgi, jaką mi przyniosła z sobą ta wiadomość!

Umarł! William nie żyje! Był to koniec zmyły, jaka mnie dusiła bezustannie od trzech lat!... Teraz miałem możność opowiedzenia swych strasznych przygód mej ukochanej córce, Ewelinie i memu szwagrowi, Marcadianowi... Te ostatnie słowa pożegnania wyrzeczone w przystani przez Johna Fellowa, brzmiały mi teraz radośnie i pobudzały serce do szybszego bicia:

— Mam jakieś niewyraźne przeczucie, master Brentano, że jeżeli pan przeplynie Atlantyk, to ja już nie zobaczę pana więcej!

...Domyślałem się też dość dokładnie, co uczynił po moim wyjeździe mój sekretarz, jak również i mecenas Teck... Bardzo możliwym było, iż uprzedzili oni telegraficznie Marcadiana o moim przyjeździe do Hawru i że wobec tego wysiadając na ląd, spotkam w przystani wzruszonego jak zwykle Marcadiana...

Domyśli me sprawdziły się... Po sześciu dniach nieprzerwanej jazdy, znalazłem się na brzegu odrazu w objęciach Marcadiana, który okazał się wyraźniejszym, niż jego depesza... Natomiast moja przenikliwość poniosła porażkę w tłumaczeniu tego „William...a...“

William nie umarł!

William Duncan, lekarz psychiatra zwaryował!

Marcadian postarzał się bardzo przez te trzy lata!... Wydał mi się przygnębionym, plecy miał pochylę, krok chwiejny i całą postawę przygarbioną!... Pogłębiły mu się zmarszczki na wysokim czole i dokoła oczów, cera pożałowała i twarz wychudła... Głos jego stracił swą dźwięczność i jasność; oczy jego nie świeciły się już tym zimnym, stalowym blaskiem, który czynił go nieraz nieznosnym!... Przekonałem się jednak zaraz z jego uprzedzającej grzeczności, iż pozostałem dla niego tym samym opatrnościowym amerykańskim obywatelem, który przed trzema laty uwolnił go od Polidora!...

— Ach, master Brentano! — zawołał — co za szczęście, że pana widzę! Wejdzie pan do domu, w którym panuje rozpacz i nieszczęście; pana jednak oczekują w nim jak zbawienia!... Pan otrzymał mą depeszę?... To pańska szatańska depesza z Montrealu sprawiła całe zło!... Po co pan zawiadamiał Williama o śmierci Łucyi Weill?... Pan mu zadał ostatni cios... Biedny człowiek, zwaryował... został nieuleczalnym waryatem!...

(Ciąg dalszy nastąpi).